Nr. 46. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia 14. Listopada 1846.*

Dzieciątko Jezus. Opowiadanie X. Hołowińskiego. — Uboga kuzynka. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga. — Treść zeszytu jedenastego roku I. pisma miesięcznego: Kościół i Szkoła. — Doniesienie prenumeracyjne.



X. Ignacy Hołowiński.

Dzieciątko Jezus.

Opowiadanie X. Hołowińskiego.

Znany zaszczytnie w naszéj literaturze X. Hołowiński, którego pisma pożytek z przyjemnością łączą, przydał do prac swoich nowe dzieło p. tyt.: *Dzieciątko Jezus*, które nie będzie zapewne pozbawione zadowolnienia czytelników. Jużem dawniéj wspomniał dwie krytyki, które się w ocenieniu dzieła zupełnie różnią. Obydwie są w bibliotece Warszawskiéj z miesiąca Lipca 1846 r.; z tych jednę napisał Kraszewski. Jego sposób zapatrywania się na całą pracę wcale mi się nie podoba, cała recenzya brzmi jakby jaki panegiryk; więcéj podzielam zdania drugiéj krytyki, chociaż i z nią w głównéj rzeczy zgodzić się nie mogę. Wedle mego zdania zbłądzili obaj krytycy, iż nazywają pracę Hołowińskiego epopeją religijną. Jeżeli z tego stanowiska zapatrywać się mamy na Dzieciątko Jezus, całe dzieło za słabą pracę uznać musimy. Lecz zdaje się, że sam autor nie ma tego uwidzenia, aby rozumiał, że napisał epopeję; skromny tytuł dzieła: *Dzieciątko Jezus*, opowiadanie X. Hołowińskiego, naprowadzić nas musi na tę myśl, iż praca ta jest tylko powieść poetyczna. Dziwić się w rzeczy saméj trzeba, jak Kraszewski, tak znakomity pisarz, tak wielką wartość przypisuje temu dziełu, iż nie wachał się wyrzec, że Dzieciątko Jezus będzie należało do najznakomitszych dzieł w naszéj literaturze; jak mógł sponieważyć jednego z naszych największych wieszczy, t. j. Zaleskiego, uważając jego Przenajświętszą Rodzinę za słabszą pracę, niż Dzieciątko Jezus. Istotnie darować tego nie możemy Kraszewskiemu, bo wedle mego zdania nie masz w całém Dzieciątku Jezus ani jednego tak poetycznego miejsca, któreby z pięknemi obrazami Przenajświętszéj Rodziny mogły być porównane. W Przenajświętszéj Rodzinie widać wielkiego mistrza, któremu natchnienie poetyckie tysiączne tworzy ideały, obrazy; w Dzieciątku zaś Jezus podrzędnego poetę, który się biedzi przedmiot sam przez się najwznioślejszy upstrzyć pięknemi barwami. Poetycki talent Hołowińskiego nie umiał się wzbić do wysokości przedmiotu; brak stwarzania ideałów, obrazów całkowitych, jest wszędzie widoczny. Jest to proste opowiedzenie pierwszych lat Chrystusa, ozdobione wielu starannémi opisami jużto natury, jużto niektórych zdarzeń, które światło rzucają na młode lata Jezusa. Z tego stanowiska pracę Hołowińskiego oceniając, zgodzimy się zapewne na to zdanie, iż z radością powitać ją możemy, bo pomnaża mały zapas dzieł w naszéj literaturze, które z popularnym wykładem łączą przedmiot ważny, a tém samém do szlachetnego dążą celu. Dla tego życzyćby trzeba, aby ta praca skromniéj była wydana, a tém samém za niższą cenę mogła być sprzedawana. W ten czasby się dostała w ręce ludu, a przynajmniéj ludu więcéj oświeconego, i wydarła ten wpływ, którego autor zapewne zapragnął, gdy się nią zajmował. Wydanie, które nas dotąd doszło, jest piękne wprawdzie, lecz tak drogie (3½ tal. za 280 stron wcale obszernego druku), iż zapewne będzie mało pokupne.

Jeszcze jedna rzecz nas uderzyła, którą nie wiem, czy przypisać autorowi, czy wydawcy. Na samém czele dzieła znajdujemy piękną rycinę, przedstawiającą samego autora (*). Mnie się zdaje, że chociażby w inném dziele mogła być umieszczoną, w tém, które przed sobą mamy, zupełnie jest niestósowną. Do Dzieciątka Jezus wypadało tylko jaki święty obraz przyłączyć.

Oto kilka ustępów z Dzieciątka Jezus:

Ledwo rzuciła gród święta rodzina,
A już lud cały sypał się w pogoni.
Przed nią leżała tak gładka równina,
Że wszystko było widać jak na dłoni;
Tylko te płaskie ocieniała strony
Szérokim liściem sykomora gruba.
W trwodze przybiegła tam rodzina luba,
Lecz nie znalazła bezpiecznéj uchroni.
Marya wznosi w niebo łzawe oczy,
A wtém się nagle drzewa pień rozskoczy:
Wewnątrz był próżny jakby wydrążony.
Z mężem i dzieckiem gdy weszła niewiasta,
Dziwne się drzewo zamyka i zrasta.
Darmo lud szukał do słońca zachodu,
Wreście zdumiony powrócił do grodu.
Znów się pień rozwarł grubéj sykomory,
I tak otwarty stoi do téj pory.
Drzewo nabrało tyle dziwnéj mocy,
Że kiedy chory w jego wnętrzu stanie,
Doświadcza słodkiéj ulgi i pomocy.
Stąd je szanują nawet Egypczanie;
W jego szeroko wydrążoném łonie,
Jak w dzień, tak w nocy zawsze lampa płonie.
Ale rodzina tak oswobodzona
Dostać nie mogła do napoju wody;
Bo się wejść bała do jakiéj zagrody.

(*) Rycina w numerze tym się znajdująca jest kopią téjże.

A w suchéj, białéj ziemi Faraona
Nigdzie nie było źródła i potoku:
Lecz Nil cysterny napełnia co roku.
Jednak Marya pełna żywéj wiary,
Siadła pod drzewem z dzieciątkiem na łonie;
Jéj oko w synku, to w niebiosach tonie,
Chociaż cierpiała męczarnię Agary.
Tymczasem źródła szukał Józef stary.
Do smutnéj matki dzieciątko się mili,
I nóżką tknęło piasek, a w téj chwili
Obfite źródło z pod ziemi wypłynie,
I leje strumień po całéj równinie.
Marya z razu szumem przelękniona,
Powstała, tuląc dzieciątko do łona.
Lecz kiedy piérwsza przeminęła trwoga,
Rzewną wdzięcznością wzniosła się do Boga.

Szczęśliwa para po trosce i znoju
Chléb swój łamała przy czystym napoju.
Marya skromną skończywszy wieczerzę,
Synka pieluszki u strumienia pierze,
I niemi w koło kamienie odziewa.
Po chwili znowu dziw ujrzeli wielki,
Bo uronione z pieluszek kropelki
Siały cudownie na téj ziemi drzewa,
I rosły w oczach i w godzinie śliczny
Powstał przy źródle ogród balsamiczny.

A Józef przy tym zasmucił się cudzie,
I rzekł: — Odjęto drogie drzewo Judzie,
Już w jerychońskiéj rośnie dolinie:
Dziś bałwochwalczy Egypt niém zasłynie. —
Marya milcząc patrzy dziecku w lice,
Jakby w niém chciała czytać tajemnicę;
I potém rzekła w proroczym zachwycie: —
— Któż nie podziwia twéj dobroci, Panie?
Chorągiew światła podniosą na szczycie!
W środku téj ziemi ołtarz pański stanie.
Egypt, ten kubek pogańskiéj ślepoty,
Co błędem, szałem napawał narody,
W ręku się pańskim zmieni w kielich złoty
Prawdy, nauki i téj żywéj wody,
Co jedna tylko gasi serc pragnienie.
Z grobów i zwalisk wstaje odrodzenie:
Widzę jak cierniem gród słońca zarasta,
Męże samotne w pośród ruin miasta
Cicho się kryjąc, jak pustyni kwiecie,
Znachodzą błogość w poście, włosiennicy:
To są najwięksi syna miłośnicy,
I najsławniejsi mędrcy w całym świecie.

Powoli zachwyt z jéj oblicza znika,
Chwila cichości święte myśli roni,
I płyną w rzewném uniesieniu modły.
Wkrótce przy wdzięczném szemraniu strumyka,
I przy balsamów zdrowiem tchnącéj woni,
Znużenia dzienne błogi sen nawiodły.
A odtąd Egypt to miejsce swą mową
Zwie *Mattarie*, czyli *wodą nową*.

Obrazie śmierci, dziedzino zniszczenia,
Strachów ojczyzno, smoków legowisko;
O ziemio piasku, ciernia i pragnienia,
Suche, niedrożne, strusiowe pastwisko,
Jakże twa postać martwa i milcząca
W głębokie człeka zadumanie wtrąca!

Bez granic przestrzeń ruchawa, grobowa
Budzi sieroctwo samotnością wielką;
A jednak miła z tobą jest rozmowa,
Pustynio, wzniosłych myśli rodzicielko!
Cóś z tobą wiąże, cóś błogo porusza,
I w pośród świata łaknie ciebie dusza.
Przed twojém groźném, posępném obliczem
Pierzcha miękkości, trosk i żądzy zgraja;
A duch się karmiąc życiem samotniczém,
Rośnie wielkością, mocą się uzbraja.
Tak spokrewniony z ogromem przestrzeni,
I sam w olbrzyma do tyla się mieni,
Że już są ciasne i zbyt niskie grody
Dla jego myśli lub jego swobody.
Ty z dawna uczysz ludzkie pokolenia,
Matko mądrości i zastanowienia.
Przez cię najkrótsza i najprostsza droga
Cudem się łączy z niebieskiemi wroty.
Ty odepchnąwszy doczesne przedmioty,
Sam na sam duszę wprowadzasz przed Boga.
Piastunko świętych, niebios powiernico,
Ty uczysz swoją dziwną tajemnicą
Jeszcze za życia zrzucać ciała brzemię,
I na twych skrzydłach wznosić się nad ziemię.
Kraino ducha, cudotworny świecie,
Plac bojów ciężkich zmieniasz w raj wesoły,
Gdzie zestępują chórami Anioły,
Gdzie na niezwiędłe wieńce rośnie kwiecie,
A palma wiecznych tryumfów ocienia.

Kędyż twa dawna i krasa i chluba,
Pustynio widzeń, objawień, natchnienia,
I modłów zbawcy towarzyszko luba?
Cóż cię w tak straszną postać dziś odmienia?
O, jeśli święta myśl cię nie zapłodni,
Musisz być matką dzikości i zbrodni.

W pustych łożyskach potoków na drzastwie,
Wśród zeschłych cierni, w jamach lub jaskini
Jak źwiérz się tai dziki syn pustyni,
I jak źwiérz tylko przemyśla o pastwie;
Albo na szybkim jak *Zilafa* (1) koniu
Trwogę roznosi po piasczystém błoniu.
Straszna ojczyzno grabieży, rozboju,
Piłaś krwi więcéj niż rosy w swym znoju.
Pustynio, jesteś jak otwarta księga,
Gdzie ludzkiéj myśli spisana potęga,
Która cię może zrobić albo niebem,
Albo występku i gniazdem i chlebem.
Z granic *faryjskich* (2) aż ku Palestynie

(1) *Zilafa*, rodzaj gwałtownego wichru na Wschodzie.
(2) *Faryjskich*, t. j. egypskich.

Głuche i dzikie ciągną się pustynie.
Wywiędłym chwastem, albo krzakiem cierni
Step niezmierzony gdzie niegdzie się czerni,
Wzgórkami piasku obficie usiany,
Które przenoszą ciągle huragany.
Rzadko w głębokiéj i skwarnéj dolinie
Kilka palm nikłych ożywia pustynię.
Czasami w jamach pozostawią jeszcze
Wodę spleśniałą i przegniłą deszcze;
A tylko zdobią téj pustyni lice,
Jak dwoje oczu, dwie słodkie krynice.
Czasem źwiérz przejdzie, lub przepełzną gady,
Lecz wiatr na piasku zamiata ich ślady.
A częściéj *Racham* (3) przelatując bada,
Czy wielbład jaki, lub pielgrzym nie pada.
Albo Arabów plemie najezdnicze
Czerni namiotem pustyni oblicze.
Czasem z pod zaspy piasków się przerzyna
Zamków i grodów zamierzchła ruina.
Czasem wskazuje drogę w téj przestrzeni
Izmaelity grób stósem kamieni.
Daléj płaszczyzna, co przy morskim brzegu
Skorupą solną błyszczy nakształt śniegu.
Lecz od potoku Egyptu do Gazy
Już częstsza zieleń, piękniejsze oazy:
Częściéj namiotów wybiega osada,
Częściéj wielbładów w górach widać stada.
Zyzność do walki wyzwała pustynię,
A ta wśród boju coraz słabnąc ginie.

Lecz za to przy téj pustyni przestworze
Drugie straszniejsze ciągnie się ze wschodu
Opok i piasku nieskończone morze.
Nikt go nie zbadał, niéma tam przechodu,
Tylko się wicher sam jeden przechadza.
Tam w pełni buja duchów ciemnych władza,
Tam gniazdo dziwów, potworów, kosmaczy,
Tam swe pustynia kryje tajemnice.
A kto postąpi w tę straszną granicę,
Już go żyjąca dusza nie obaczy.

Uboga kuzynka.

Powiastka.

Są ludzie na świecie, którym szczęście osobiste nie wystarcza, lecz radziby to koło rozszerzyć, rozprzestrzenić, gdyby się dało, i na świat cały. Ich domu nigdy téż nie zamieszka uboga kuzynka, bo jeżeli wezmą sierotę, to jak własne dziecko otoczą uczuciem, osłonią staraniem.

Lecz któż z nas nie spotkał ubogiéj kuzynki, téj biednéj istoty, którą dziecięciem w domu bogatszych krewnych nigdy żadna pieszczota nie kołysze do snu, nigdy pocałunek nie osuszy łzy z lica, lecz karcona, naganiana, potulna, cichuteńka, chodzi ze spuszczonemi oczyma, a tak nie śmiało, jak gdyby się lękała stopami ziemi dotykać, czy i ta jéj nie złaje, nie ofuknie. Jeżeli czasami pogładzi ją dłoń protektorki, zatém idzie długa i cierpka reprymanda o ubóstwie i wdzięczności. Później, kiedy już wyrasta na dziewczynkę, każdą fantazyę, każdy polot młodéj wyobraźni niby obuchem przygniatają temi słowy: „Jesteś ubogą, na łasce; zamiast o tém pamiętać i wysługiwać się, skaczesz i śmiejesz się;“ a ona westchnie, spuści główkę, jak gdyby zbrodnię popełniła. A jakież ją dopiero cierpienia czekają, kiedy uczucia w całéj pełni rozbudzają się w dziewiczém sercu, szczęście lub tęsknota wywołują w chwilach łzę w oku z pół uśmiechem. Któraż wtedy nie ma bogactw całego świata przed sobą w długiéj przyszłości, barwnéj w najpiękniejsze kwiaty wyobraźni, w uczuciu pięknego i dobrego, co się teraz stały zrozumiałemi dla jéj młodéj duszy. O wtenczas to niby gwoździami do krzyża boleści przybijają życie ubogiéj kuzynki: — jesteś biedną, nie dla ciebie rozkosze całego świata, nie dla ciebie miłość młodzieńca, który się zbliża, boś ty ubogą dla niego — odpychaj tę sferę, w któréj otoczeniu żyjesz, używasz jéj z łaski do czasu tylko, a myśl o nędzy, do któréj należysz. A na domiar wszystkiego, tysiąc kaprysów i rozkazów gniewnie wydawanych — posług cierpko przyjmowanych. I wśród tego wszystkiego, uboga kuzynka ma się śmiać, tańczyć, być swobodną — szczęśliwą nawet!

Opowiem tu kilka lat życia jednéj takiéj istoty. — Czym wymarzyła w noc bezsenną, czym słyszała jako prawdziwe zdarzenie, nie pamiętam. — Wiem tylko, że coś nakształt przypomnienia snuło mi się po myśli — i wpatrywałam się w niepewne rysy; one coraz wyraźniejsze kształty przybierały, a nakoniec stanęły przed moją duszą, jak w téj powieści opowiem. —

I.

Wśród trawników, na których rozsiane tu i ówdzie drzewa i krzewy, pod jesień przeplecione kilku klombami georgiń, bieleje ścianami i czerwienieje dachem murowany dworzec Pański. Bez żadnych ozdób, nie wysoki, obszerny tylko szerokością i długością ścian, całym cię-

(3) *Racham*, rodzaj wielkich sępów.

żarem przysiadł do ziemi. Stojąc na wzgórku przygląda się z jednéj strony folwarcznym budynkom i alei wiejskich chat, a z drugiéj obszernemu ogrodowi, który się ciągnie dalekim borem drzew.

Pod wieczór w jedném z okien siedziała młoda kobieta, i melancholicznie topiła wzrok w czysty błękit wrześniowego nieba, posianego tysiącem gwiazd, wśród których jaśniał księżyc całą pełnią. W tym samym pokoju, pół leżąc, pół siedząc, spoczywała druga osoba — obiedwie milczały, tylko głos męzki dolatujący przez uchylone drzwi z przyległego pokoju i kroki chodzącego w około mięszały tę cichość. Była to rozmowa bardzo prozaiczna, bo ekonoma z panem, o kopach wymłóconego zboża, o paszy dla owiec, i jutrzejszéj robociźnie. Widać, że siedząca przy oknie, tak do téj rozmowy przywykła, iż choć słowa głośno się rozlegały, ona ich nie słyszała, lecz marzyła, patrząc w twarz księżyca, Bóg wie o czém, bo raz po raz przelotny uśmiech osiadł na ustach, częściéj jednak lekki smutek białe jéj czoło zaciemniał.

Zégar alabastrowy, stojący na stoliku w rogu, wybił dwa, młoda kobieta siedziała nieporuszona, kiedy spoczywająca na sofie wyrzekła z pośpiechem: „Cóż to! panna Julia tak zadumana, iż nie słyszy, że pół do siódméj wybiło?“

Siedząca zadrgnęła jakby przebudzona ze snu, podniosła się spiesznie, i pociągnęła pas haftowany dzwonka, wiszący przy drzwiach. Po chwili wniósł służący lampę, a ta oświetliła salonik, mający niebiesko malowane ściany i z bronzami meble, już nie świeże, lecz jeszcze dość ozdobne. Pani na sofie przysunęła stół, i rzekła rozkazująco do drugiéj, która właśnie postawiła koszyczek z różnobarwną wełną i rozkładała haft na kanwie.

„Daj mi ławeczkę.“ Ta ją spiesznie pod jéj nogi podstawiła, i odebrała znów rozkaz przyniesienia książki. Lecz kiedy ją podawała, druga spojrzawszy na różową okładkę romansu wydania brukselskiego, porzuciła go z niecierpliwością.

Czyż nie wiész, żem wczoraj drugi tom skończyła, że znów go przynosisz?

„Nie wiedziałam,“ odrzekła pierwsza nieśmiało, biorąc ze stołu rzuconą książkę.

„Co potrzeba, nigdy tego nie wiész,“ i surowo spojrzała za odchodzącą.

Po chwili obiedwie siedziały przy okrągłym stole milczące — jedna zaczytana, druga pilnie szyjąc — tylko rozmowa pana z ekonomem ciągle mieszała cichość w salonie.

Słysząc pierwszy raz o młodéj kobiecie, może mimowolnie zapytamy się jednak: A czy ładna? W myśl tego zapytania opowiemy jak wyglądała Julia. Nie wybijała żadną szczególną pięknością, rysy prawie regularne, ale za drobne, brwi na okrągławém czole ledwie oznaczone, a przy jasnych włosach, ugładzonych na skroni, płeć choć biała, lecz nie dość przezroczysta; czasem lica pokryte tą jednostajną bladością, co chyba pokraśnieją silném wewnętrzném wzruszeniem, a do tego kibić niewyrosła, kształtna tylko giętkością. Ale jednak dużo w niéj wdzięku, bo w twarzy i postawie rozlana słodycz z prostotą, a w niebieskich wielkich oczach, przegląda jakaś spokojność, myśli osłonięte sennością. Z łagodnością też i w milczeniu wykonywała dawane jéj rozkazy przez panią w podeszłych latach, siedzącą na sofie — wysoką, rumianą, otyłą, z głową na krótkiéj szyi, z dumą w tył przegiętą. Rozkazy padały jeden za drugim: zapytaj się Julio! — przynieś — zamknij — otwórz, a dziewczyna bez zniecierpliwienia wracała na miejsce.

Nie długo ukończyła się konferencya przedpokojowa, a do okrągłego stołu przybył już dobrze podstarzały mężczyzna. Wychudły, nie wysoki, z pospolitą fizyognomią spekulanta agronoma.

Spójrzawszy na stół, zapytał: „A gdzież gazety z dzisiejszéj poczty?“

Julia podniosła się i położyła je przed nim. On zaś wsadziwszy okulary, wziął się do odczytywania małéj tabelki na końcu. „Co to będzie! co to będzie!“ wykrzyknął uderzając dłonią w stół — „zboże tanieje, a wcale go nie masz. Powiadam, że dzisiaj gospodarować bez pańszczyzny, to lepiéj być pastuchem. Jak przyjdzie zapłacić zasługi, wydawać ordynarye i jeszcze najmować, to człowiek pójdzie z torbami. Rozmarnuje się wszystko, co się z pracą uzbierało.“ Po tym monologu odkrząknął z nieukontentowaniem, wyjął srebrną tabakierkę, zażył tabaczki i znów czytał drugą tabelkę. „Papiery spadają, hołysze się cieszą, bo myślą, że będzie wojna“ — wyrzekł z ironi-

cznym, pół-głośnym uśmiechem. Pani, która na wszystkie uwagi głowy od książki nie podniosła, na tę ostatnią dopiéro poprawiła się na sofie i spójrzała na męża, mówiąc z przyciskiem:

„Oj! masz słuszność, że takim zawsze się chce odmiany, zawsze czegoś innego — nic nie mają do stracenia, więc mówią, że źle na świecie. A cóż dopiéro ci golce, co nawet nie wiedzieć, kto byli ich rodzice — nie tylko że zazdroszczą majątku, ale wszystkie wyższe względy, jakie na bogatszych ludzi spadają, chcą mieć za nic.“ „Przecież raz to zuchwalstwo musi miéć koniec“ — dodał jegomość przeglądając gazety.

„No proszę — znów izba we Francyi na zaciągnięcie summ pozwala — to jest ten wychwalony kraj, a długów jak włosów na głowie. Dziękuję za całą Francyą,“ a po chwili dodał: „żeby się tam tylko Teodorowi w głowie nie poprzewracało.“

„Nie bój się“ — odparła, uśmiechając się żona; „zobaczysz jaki rozsądny wróci — już on najmniéj z naszych chłopców skłonny do zepsucia.“

„To prawda. Pamiętasz, bodaj miał sześć lat, jak dostali od dziadka po dukacie na gwiazdkę; - każdy z chłopców przemyśliwał, coby za tego dukata kupić, a on już wtedy z roztropnością powiedział: ja mego schowam. Schował i już pewnie miał lat dwanaście kiedy go przyłożył do kupienia płaszczyka. Dla takiego nie żal zbierać, bo umie grosz szanować.“

„Oh! pamiętam! pamiętam!“ — mówiła matka z czułém westchnieniem. „Już z dzieciństwa był rozsądny. — Poczciwe dziecko! Patrzyć go téż tylko — przecież już więcéj miesiąc — wyjechał z Paryża.“ — I oboje państwo zapomnieli o czytaniu, przedłużając tę miłą dla siebie rozmowę. W pół godzinki może przerwał ją dopiéro turkot zajeżdżającego przed dom pojazdu. Jegomość wyszedł witać niewiadomych gości, i niebawem wśród zmieszanych głosów drzwi się otworzyły, a na progu stanął młody mężczyzna.

„Teodor!“ krzyknęła pani, podniosła się spiesznie i witała przybyłego pocałunkiem w głowę. A kiedy z kolei spostrzegł Julię, która przyjaźnie ku niemu spoglądała, powitał ją lekkiém skinieniem głowy, nie pozdrowiwszy i jedném słówkiem. Nie zmieszało jéj to wcale, znać zwykle tak ją witano — blada téż i spokojna wyszła do zatrudnień domowych.

W saloniku zaś między synem i rodzicami toczyła się rozmowa prędka i poplątana, składająca się z więcéj zapytań niż odpowiedzi, jak zwyczajnie między bliższymi, co się parę lat nie widzieli. Lecz młodzieniec nie obiegał wzrokiem ścian i sprzętów dawno mu znanych, nie wpatrywał się z czułością w rodziców, ale zasiadł wygodnie na miękkim fotelu, jak gdyby kilka lat już się z niego nie ruszał, i tak rozparty od niechcenia po chwili zamilkł i dość obojętnie przysłuchiwał się opowiadaniu rodziców.

Julia wróciła i zajęła swoje miejsce przy porzuconym hafcie, lecz nikt na nią nie zważał, nikt się do niéj jedném słówkiem nie zwrócił. Widać jednak, że bezprzytomnym słuchaczem nie była, bo się czasem lekko uśmiechnęła, to znów myśl poważniejsza czoło jéj przebiegła. Teodor machinalnie zwrócił kilka razy na nią oczy, lecz ich tam długo nie zatrzymał; jak obojętnie spójrzał, tak je obojętnie odwrócił. Nareszcie dano kolacyą i ona się zabrała do rozdzielenia, a kiedy z kolei podawała porcyą Teodorowi, przyjmując ją bez spojrzenia na dziewczynę, wyrzekł zimno: „*Merci.*“

Wszyscy byli zajęci jadłem, a Julia ze swoim talerzem usiadła na przeciwko młodzieńca i ukradkiem przypatrywała się: o ile go téż te kilka lat zmieniły. Prawda, że on ją zawsze zimno i z lekka traktował, jak wszyscy w domu; lecz w dzieciństwie kiedy nieraz tonąca we łzach szukała serca matki, na któréмby rozpaloną głowę złożyć mogła i wypowiedzieć swoje krzywdy i żale, on sam wtenczas prawie dziecko, często ją słówkiem utulał i grudkę cukru lub jabłko siedzącéj w kąciku podał. Teraz po tak długiém niewidzeniu wszystko jéj w pamięci stanęło i choć ją tak zimno powitał i wcale na nią nie spojrzał, złagodziło to wspomnienie przeszłości. Prawda, że dla młodéj kobiety i teraz Teodor nie był odstraszający, bo piękny z postawy, piękny i z lica, i gdyby twarz jego sztukmistrz cerklem rozmierzył, niсby w niéj nie znalazł do zarzucenia. Lecz na piérwszy rzut oka wyraz twarzy nie dopełniał téj zewnętrznéj piękności, owszem łamał jéj harmonią, bo brak tu młodzieńczego zapału — a czoło choć myślące, otwarte, oznaczone ciemnemi brwiami, myśli je-

dnak, co tam przebiegają spowite zimną refleksyą, kostnieją jak u starca. Nie masz tam téj wzniosłości, co myśl młodzieńca skąpaną w czuciu rwie w inne światy.

Kiedy jego ciemne oczy zwróciły się mimowolnie na Julią, i spotkały jéj spojrzenie z zajęciem w niego utopione, tak dziwnie ironicznym uśmiechem zabłysły, że aż dziewczyna — zadrżała — rumieniec obrażonéj miłości własnéj oblał jéj skronie — zmieszana opuściła grabki i jeść przestała. Prawie jéj się na łzy zbierało, tyle w tym jednym rzucie oka padło na nią przekąsu — szyderstwa. Chwilkę siedziała przyciśnięta, zmięszana tą ironią, bo choć miał wzrok spuszczony, czuła spojrzenie i uśmiech, co nad nią wisiały. On znać inaczéj to wzruszenie zrozumiał, gdyż chwilkę z widocznym uśmiechem na nią spoglądał, a spuszczając głowę ku talerzowi, pół głosem się nawet zaśmiał. Nikt na niego nie patrzał, nikt więc gry jego twarzy nie widział, a on dla lepszego zakrycia, wesołą anekdotkę zaczął opowiadać.

Lecz Julii serce żalem się ścisnęło, ten śmiech przeważył szalę jéj siły — bo wszystkie gorzkie słowa i kaprysy, wszystkie męczarnie moralne, które od ośmiu lat życia na nią spadały, czémże były w porównaniu jednego szyderstwa, ciśniętego przez młodego mężczyznę? Jam uboga kuzynka, a on syn moich chlebodawców, i dla tego mi urąga — pomyślała i czuła, że się nie wstrzyma, że głośno zapłacze — podniosła się i biegła ukryć łzę do swego maleńkiego pokoju. Tu upadła na kolana, schowała twarz w dłonie i gorzko zaszlochała: „Och! pójdę w świat, będę ciężko pracowała, zniosę wszystko — wszystko — tylko nie jego szyderstwo, rzucone mi jakby w przydatku do kawałka chleba“ — pomyślała w pierwszym żalu. Ale wnet jak błyskawica przeleciało przez jéj duszę przypomnienie matki — matki, na któréj smutnéj drodze życia, wśród walk z nędzą, przyświecało jakby gwiazdą wspomnienie, że córka szczęśliwa — bo ją widziała ładnie ubraną, kręcącą się po pięknych pokojach, jeżdżącą w powozie, otoczoną wszystkiemi wygodami życia, ona, która znała z doświadczenia, co to jest głód i mróz. I patrząc tak na Julią, zapominała o wszystkich swoich niedolach, wszystkich cierpieniach; — biedna! nie uchyliła nigdy zasłony, którą tak starannie swoje serce córka przed jéj czułością zakrywała, i była szczęśliwą szczęściem swego dziecka. — Kiedy Julia była małą, ocierając jéj łzy żałosne, zachęcała temi słowy do wytrwałości: „Jeszcze parę lat, a będzie ci później lepiéj — a jak ty szczęśliwa, to i ja nią jestem“ i popieściła zpłakane lica i przycisnęła ją do piersi, a tą miłością choć chwilkę były szczęśliwe — bogate.

Teraz wiele mil je rozdzielało, jednak córka czerpała siłę z tego uczucia i osłonięta niém jakby puklerzem, szła z rezygnacyą wśród ciernistéj drogi życia. Nic dziwnego, iż jéj zabrakło zawsze odwagi do opuszczenia domu, gdzie nie raz tyle chwil gorzkich przecierpiała, bo czyż mogła wtłaczać jeden miecz boleści więcéj w serce matki? I tą razą znów to przypomnienie rozbroiło ją z postanowienia — silną wolą przytłumiła żal, — przestała płakać, podniosła czoło i wzrok utkwiła w obrazek na blasze N. Panny Częstochowskiéj, dany jéj od matki jako jedyne bogactwo, a wpatrując się w niego przy bladém świetle księżyca, czerpała siłę pod opieką matki w niebie i pamięcią matki na ziemi, kiedy drzwi uchylono, a w progu zabłysła para oczu Teodora. „A! przepraszam,“ wyrzekł widząc ją klęczącą. Dziewczyna wcześnie powstała, a on dodał z grzecznością: „Mama pannę Julią prosi.“ Ona z podniesioném czołem zbliżyła się do drzwi, a on się z delikatnością usunął.

Jeszcze oczy zwilżone miała łzami, na twarzy wzruszenie, a w saloniku już cierpkiemi słowy przyjętą została: że zawsze trzeba jéj szukać, kiedy potrzebna. I wysłano ją z kluczykami. A młodzieniec, rozkładając się wygodnie w fotelu, zapytał od niechcenia: „Mama już teraz ma z niéj wyręczenie?“

„Dosyć się wprawiła, kontenta z niéj jestem.“ — „Ale powiedz,“ wmieszał się jegomość, „że jéj téż u ciebie jak w raju. Wyślesz ją z pokoju do pokoju, pokręci się troszkę z kluczykami, a potém siedzi wystrojona, jakby krocie w posagu miała. Nie raz myślę, że nic dobrego przez to nie robisz, bo proszę — co za koniec, czy się kto z nią ożeni, czy nie, musi nakoniec zawinąć rękawów i wziąść się do roboty.“

„Już się téż dosyć nabiegałam po spiżarniach i piwnicach, i zdaje mi się, że mamy na to, żeby się kim wyręczyć,“ odparła jéjmość z przyciskiem. „A zresztą co Julia nahaftuje! wszystko w zielonym pokoju uszyte jéj ręką.“

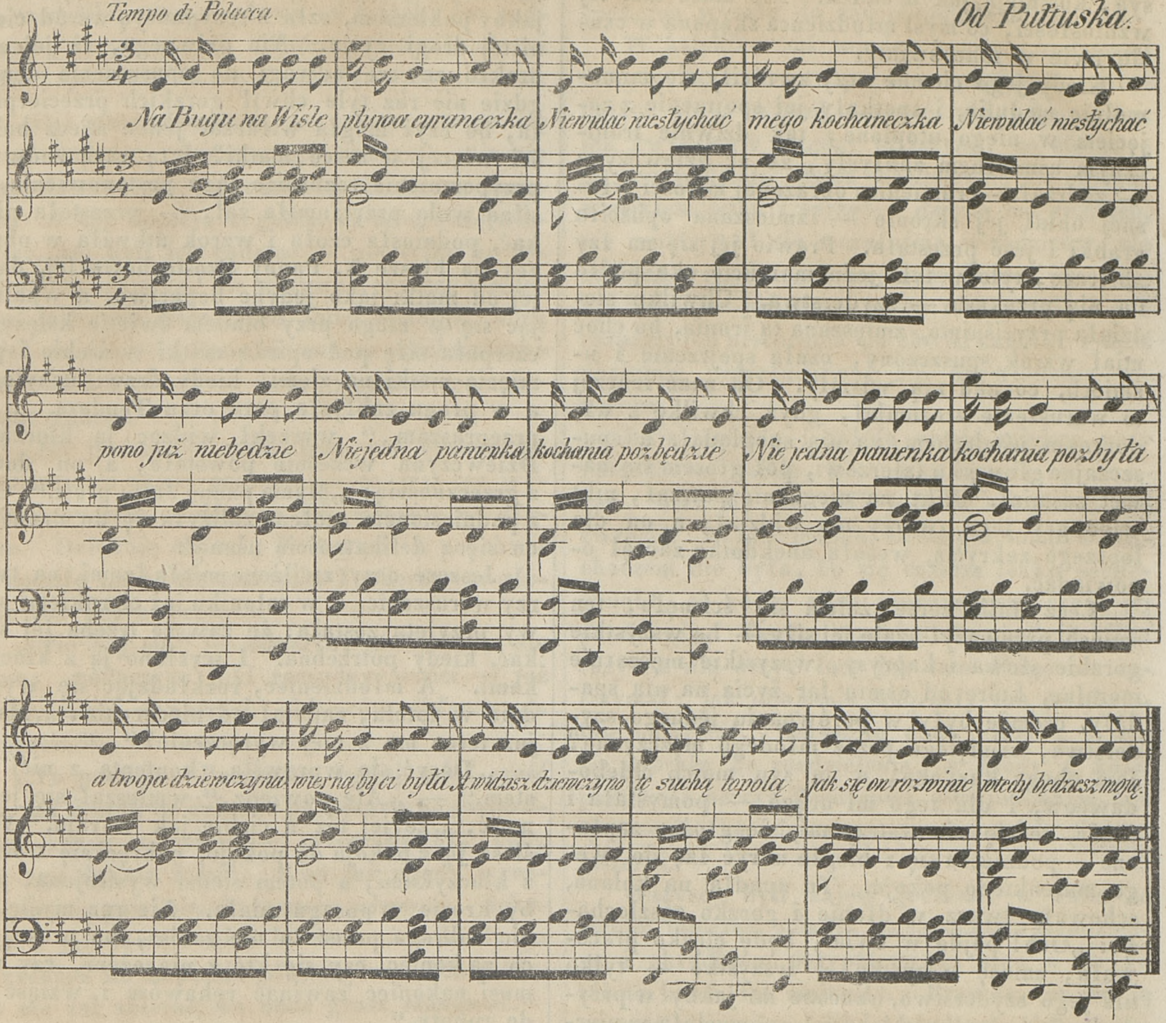
„Tak jest, ptaszka wyszyje, a wółka zje“ — odrzekł mąż, sam się z swoich słów śmiejąc.

Nie długo powrót Julii przerwał tę rozmowę, a w półgodziny może przy okrągłym stole już tylko samą była, porządkując wełny i papiery. Zabrawszy książkę ze światłem w ręku przeszła sień i weszła do swego pokoiku. Teraz zapaliła lampkę i odetchnęła lekko i swobodnie, bo to były chwile, których wrażeniami życie swoje mierzyła; w tych godzinach czytywała, rozpamiętywała wszystko złe i dobre i marzyła o światach wyrojonych w swéj młodéj wyobraźni. I dzisiaj, choć po tak przykrém wrażeniu, długo światło w pokoiku nie gasło.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

№ 170.

Od Pułtuska.



Text do *Nru. 170.*

Na Bugu, na Wiślę, pływa cyraneczka,
Nie widać, nie słychać mego kochaneczka;
Nie widać, nie słychać, pono już nie będzie,
Nie jedna panienka kochania pozbędzie.
A widzisz dziewczyno tę suchą topolą,
Jak się on rozwinie, wtedy będziesz moją;
Wezmę koneweczkę, będę wodę znosić,
Będę podlewała, będę Boga prosić.
Już się topolina rozwijać zaczyna.
Nie widać, nie słychać mego pocieszenia.

(Patrz Nr. 126.)

Przy końcu drugiego półrocza trzynastego roku istnienia „Przyjaciela Ludu,“ upraszam Szanownych Czytelników, aby prenumeratę na pierwsze półrocze roku czternastego w najbliższych księgarniach lub urzędach pocztowych ponowić raczyli, jeśli nie chcą doznać przerwy w odbieraniu regularném numerów.

Ernest Günther, *wydawca.*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)